

WYBUCHOWA MIESZANKA
OBSESJI I MRO CZNYCH SEKRETÓW.
„NEW YORK JOURNAL OF BOOKS”

PIĘKNE KŁAMSTWA

PETER SWANSON

MARGINESY

All the Beautiful Lies

COPYRIGHT © 2018 BY Peter Swanson

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2020

Dia Nata Sobela

Uśmieszek obłudny,
Zęby jak mleko białe,
Szarlatan okrutny,
W jedwabiach pyszałek.

Bezduśne morze zbójcecko
Szuka ofiary samo;
To z tamtej wioski dziecko
Dziś zamordowano.

Elinor Wylie, *Morska kołysanka*

I

GREY LADY

Kiedy Harry skręcił na wysypyany tłuczonymi muszlami podjazd do domu w Kennewick Village, na chwilę oślepiło go światło – promień ostrego majowego słońca padł na przednią szybę pod niefortunnym kątem. Zaparkował hondę civic obok pomarańczowego volvo kombi – ukochanego samochodu ojca – schował twarz w dłoniach i ledwie się powstrzymał od płaczu.

Rano zadzwoniła jego macocha i powiedziała, że ojciec, Bill, nie żyje.

– Jak to?! Co się stało? – spytał. Właśnie szedł przez obsadzone drzewami dziedziniec do swojego akademika. Jeszcze tydzień temu rozmyślał nad dyplomem, zastanawiał się, co ma robić przez resztę życia.

– Pośliznął się. I spadł. – Alice przerywała co słowo. Zrozumiał, że ona płacze, ale stara się tego nie okazać, stara się mówić spokojnie i sensownie.

– Skąd spadł? – Ogarnął go przejmujący chłód, nogi zrobiły mu się jak z gumy. Stanął, a idąca za nim dziewczyna, również rozmawiająca przez komórkę, aż musnęła jego plecak, w ostatniej chwili omijając go na ceglany chodniku.

– Ze ścieżki na urwisku, tam gdzie lubił spacerować. – Teraz Alice już całkiem się rozplakała, jej głos brzmiał, jakby przedstawiał się przez mokry ręcznik.

– Kto go znalazł?

– Jacyś turyści... nie wiem. To obcy ludzie, Harry.

Dopiero po drugiej rozmowie telefonicznej, tego samego dnia, poznał wszystkie szczegóły. Alice wyszła po południu pozałatwiać jakieś sprawy. Zajechała do antykwariatu, a Bill jej powiedział, że przed zmrokiem wybiera się na spacer i że wróci do domu na kolację. Ona z kolei poprosiła, żeby uważał na siebie, zawsze tak mówiła, i że robi na kolację zapiekankę pasterską, taką jak on lubi, z krojoną w kostkę jagnięciną, a nie z mieloną wołowiną. Kolacja była gotowa na osiemną, tak jak zwykle, Bill się jednak nie pojawił. I nie odbierał telefonu. Zadzwoiła do Johna, jedyne go pracownika antykwariatu, ale on wiedział tyle co ona: Bill wyszedł tuż przed siedemnastą, miał się przejść. Ponieważ tymczasem się ściemniło, Alice zadzwoniła na posterunek, gdzie połączono ją z funkcjonariuszem Wheatleyem. Właśnie gdy jej wyjaśniał, że nic nie da się zrobić, skoro Billa nie ma dopiero od godziny, usłyszała w tle jakiś inny głos. Policjant przeprosił ją na chwilę, i wtedy zrozumiała. Wreszcie zdenerwowany oznajmił, że przełącza ją do detektywa Dixona, a ten poinformował ją, że niedaleko Kennewick Harbor znaleziono ciało, i spytał, czy Alice mogłaby przyjechać dokonać identyfikacji.

– Jak to się dokładnie stało? – spytał Harry.

– Chyba zakładają, że się pośliznęła, spadł i uderzył w coś głową.

– Chodził tamtędy codziennie.

– Wiem. I to samo im powiedziałam. Na pewno wszystkiego się dowiemy, Harry.

„Ja po prostu nie rozumiem...” – miał wrażenie, że tego dnia powtórzył w myślach to zdanie setki razy. Był czwartek, w niedzielę po południu czekała go uroczystość rozdania dyplomów. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami ojciec miał przyjechać z Alice do New Chester w Connecticut w sobotę wieczorem,

zamierzali zostać do poniedziałku i pomóc Harry’emu w pakowaniu na tymczasowy powrót do Maine.

Tymczasem Harry spakował wszystko sam, był na nogach do późnej nocy. Między podręcznikami i zeszytami znalazł paperbackowe wydanie książki Hillary’ego Waugh, *Ktokolwiek widział...*, które ojciec dał mu na początku roku akademickiego.

– To kryminał, którego akcja rozgrywa się na uniwersytecie – powiedział wtedy. – Wiem, że lubisz Eda McBaina, więc pomyślałem, że to ci się też spodoba. Jest bardzo staroświecki. Tylko musisz znaleźć na niego czas, oczywiście.

Nie znalazł tego czasu, za to teraz otworzył książkę. W środku ujrzał kartkę wypełnioną odręcznym pismem. Jednym z ulubionych zajęć ojca było sporządzanie list, niemal zawsze powiązanych z książkami. Ta wyglądała następująco:

Pięć najlepszych kryminałów kampusowych:

Dorothy Sayers, *Jeszcze noc wesolą*

Edmund Crispin, *Złocista muszka*

Hillary Waugh, *Ktokolwiek widział...*

Colin Dexter, *Świat ciszy Nicholasa Quinna*

Donna Tartt, *Tajemna historia*

Harry wpatrywał się w kartkę, próbując pojąć, co to oznacza, że ojca – ostatniej w jego życiu osoby, którą naprawdę kochał – już nie ma. Rano napisał mejla do Jane Ogden, swojej promotorki, poinformował, że nie będzie go na kolacji dla studentów historii, i wyjaśnił dlaczego. Potem wszedł na stronę college’u i znalazł adres mejlowy, na który wysłał powiadomienie, że nie będzie go na wręczeniu dyplomów. Wytuszczonymi literami umieszczono na stronie informację, że odwołać uczestnictwo można najpóźniej dwa tygodnie przed uroczystością.

Ale co zrobią? Jeśli jego nazwisko zostanie wyczytane, a on nie podejdzie, to jakie to będzie miało znaczenie?

Niewiele mu zostało do roboty. Pracę skończył, egzaminy miał za sobą, pozałatwiał wszystkie zaliczenia. Oczywiście musiał zobaczyć się z przyjaciółmi. No i jeszcze była Kim. Wpadł na nią w poprzedni weekend na przyjęciu w St. Dun. Pocałowali się w pokoju bilardowym i obiecali sobie, że się jeszcze zobaczą przed rozdaniem dyplomów. Ale w tej chwili wcale nie chciał się z nią widzieć; z nikim się nie chciał widzieć. Jego znajomi i tak się dowiedzą w taki czy inny sposób.

Przetarł oczy dłońmi, wyłączył silnik i wysiadł. Pachnące morzem powietrze było o wiele chłodniejsze niż w Connecticut. Dostrzegł Alice w oknie na piętrze – oknie sypialni małżeńskiej – a gdy zobaczyła, że ją zauważył, skinęła mu ręką. Ubrana w biały szlafrok, z bladą skórą i włosami, w łukowatym wiktoriańskim oknie wyglądała niemal jak duch. Opuściła rękę i zniknęła. Odetchnął głęboko, szykując się na spotkanie i na to, że wejdzie do domu, który zawsze był dla niego domem ojca, pełnym jego rzeczy.

W drzwiach uściskał Alice. Jej włosy pachniały drogim szamponem, jakimś z lawendą.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś – powiedziała głosem bardziej chropawym niż zwykle, napiętym od łez.

– No tak.

– Przygotowałam ci twój stary pokój. Mam coś zabrać na górę?

– Nie, nie – zapewnił szybko. – Nie mam dużo rzeczy.

Musiał raptem trzy razy obrócić między samochodem a sypialnią na piętrze. „Jego stary pokój” tak naprawdę nigdy nie był jego pokojem. W każdym razie on nigdy tak o nim nie myślał. Matka umarła na raka płuc, gdy miał piętnaście lat. Wtedy mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu nad pierwszym skle-

pem ojca – Białe Kruki Ackersona – w West Village w Nowym Jorku. Ponieważ w chwili śmierci matki Harry dopiero zaczął liceum, ojciec postanowił, że dla nich obu najlepiej będzie do matury syna pozostać na Manhattanie. Sam na sam z ojcem w ciemnym maleńkim mieszkanku, które wydawało się jeszcze mniejsze, odkąd zabrakło matki, Harry czuł się i strasznie, i bezpiecznie. Ciągle czuli tam obecność Emily Ackerson, a jednocześnie wszystko im przypominało, że odeszła na zawsze.

Latem Harry z ojcem więcej czasu niż w Nowym Jorku spędzali w Sanford w Maine, mieście rodzinnym Billa. Nadal mieszkała tam jego siostra z rodziną, a do tego kuzyn, z którym utrzymywał bliskie relacje. W czasie tych wypadów Bill zaczął się rozglądać za lokalem na drugą księgarnię, nad morzem. Wynajęli dom na Kennewick Beach, tak żeby Bill mógł więcej czasu poświęcić oglądaniu lokali. Właśnie wtedy poznał Alice Moss, agentkę nieruchomości w biurze Coast Home Realty. Zaręczyli się, gdy Harry chodził do ostatniej klasy liceum, a gdy potem poszedł do college'u, ojciec na stałe przeniósł się do Maine, poślubił Alice i kupił wiktoriańską rudere, którą nazwał Grey Lady, Szara Dama. Jego partner biznesowy, Ron Krakowski, dalej prowadził antykwariat w Nowym Jorku, a Bill i Alice otworzyli drugą placówkę w Kennewick Village, kilka minut marszem od domu.

Lato po pierwszym roku było jedynym, które Harry w całości spędził w Maine z ojcem i jego nową żoną. Alice, która nigdy wcześniej nie miała męża, nie miała też dzieci, cała szczęśliwa urządziła jedną z sypialni zgodnie ze swoim wyobrażeniem o pokoju dla młodego mężczyzny. Ściany pomalowała na ciemnokasztanowy – czerwień myśliwską, jak to ujęła – i kupiła meble w L.L. Bean, które wyglądały jak wyjęte z domku myśliwskiego. Powiesiła nawet w ramie plakat z *Wielkiej ucieczki*,

bo Harry jej kiedyś powiedział, że to jego ulubiony film. Pokój mu się podobał, ale nie czuł się tam do końca swobodnie. Jego ojciec, jak zawsze, podróżował po kraju, wyszukując książki na wyprzedających majątku i pchlich targach. Harry zostawał sam z Alice, która bardzo się starała zastąpić mu matkę, w kółko mu gotując, sprząając pokój i pieczołowicie składając ubrania. Była o trzynaście lat młodsza od ojca, a więc dokładnie trzynaście lat starsza od Harry'ego, chociaż nie wyglądała na swój wiek. Mimo że całe życie spędziła na wybrzeżu Maine, musiała unikać słońca, bo skórę miała bladą, bez zmarszczek, niemal świetlistą. Ze sportów uprawiała wyłącznie pływanie: albo na basenie, albo w morzu, gdy było dostatecznie ciepło. Jadła łączywie, piła mleko szklankami jak nastolatka, lecz nie była gruba, nawet nie miała nadwagi, raptem apetycznie zaokrągłone kształty, szerokie biodra, wąską talię, długie nogi i niemal dziecięce kostki.

Tego lata było gorąco i parno, a w domu nie mieli klimatyzacji. Alice cały lipiec i sierpień chodziła w dżinsowych szortach i jasnozielonym staniku od bikini, nieświadoma, jak oddziałuje na nastoletniego pasierba. Miała osobliwą urodę, oczy rozstawione za szeroko, a skórę tak bladą, że tuż pod jej powierzchnią widać było niebieskie żyły. Kojarzyła się Harry'emu z jedną z seksownych alienek ze *Star Treka*, piękną samicą, tyle że z zieloną skórą albo, dajmy na to, narodziła na czole. Była pozaziemska. Harry, ciągle w stanie seksualnego podniecenia, speszony i z poczuciem winy, nie mógł przestać o niej myśleć. A to, że mu matkowała – pilnując, by był najedzony, żeby mu było wygodnie – tylko pogłębiało jego frustrację.

Po tym pierwszym i jedynym lecie w Kennewick Harry starał się na wakacje wyjeżdżać do przyjaciół albo zostawał w New Chester i robił kwerendę dla wykładowców. Ojca widywał dość często, ponieważ ten dużo czasu wciąż spędzał w Nowym Jorku,

gdzie spotykał się z Ronem Krakowskim i negocjował transakcje. Z Manhattanu do New Chester było niespełna dwie godziny pociągiem.

– Powinieneś częściej przyjeżdżać do Maine – powiedział mu ostatnio ojciec. Przeglądali najnowsze dostawy w Housing Works Bookstore w Soho. – Alice by się cieszyła.

Bill rzadko wypowiadał jej imię, jakby bał się skalać pamięć zmarłej żony.

– Przyjadę latem – powiedział Harry. – Co u niej?

– Bez zmian – odrzekł ojciec. – Pewnie dla mnie jest za młoda. – Milczał chwilę i dodał: – Jest lojalna. Miałem szczęście, dwukrotnie miałem szczęście.

Pokój – pokój Harry’ego – prawie się nie zmienił przez minione trzy lata. Największa różnica polegała na tym, że pustą biblioteczkę, którą Alice tu umieściła – „Możesz tu zostawić niektóre swoje ulubione książki, Harry” – wypełniono pierwszymi wydaniem kryminałów ojca, a na meblu pojawiły się zdjęcia w ramach, pewnie wybrane przez Alice. Na większości widniał Harry i ojciec, ale na jednym, którego do tej pory jeszcze nie widział, jego rodzice z czasów, gdy się poznali, jakoś na początku lat osiemdziesiątych. Siedzieli razem na balkonie, każde z papierosem w palcach. Z grubsza byli w tym samym wieku co Harry w tej chwili, a jednak wyglądali na starszych, sprawiali wrażenie bardziej wyrafinowanych. Harry czuł się, jakby dopiero wszedł w dorosłość, i wiedział, że to po nim widać. Był wysoki i bardzo szczupły, miał ciemne gęste włosy, które opadały mu na czoło. Kim czule przeżywała go tyczką. Na imprezach przypadkowe dziewczyny wyznawały mu czasami, że zazdroszczą mu kości policzkowych i rzęs.

– Harry. – Alice stała w progu. Odezwała się szeptem, a on podskoczył lekko. – Przepraszam. Nie wiedziałam, czy chcesz herbaty czy kawy, więc przyniosłam jedno i drugie. – Weszła do

środką z kubkiem w każdej ręce. – Jedno i drugie z mlekiem i cukrem. Tak okej, prawda?

– Dziękuję Alice. Okej. – Wziął kawę, choć nie zamierzał dużo jej wypijać, ponieważ przede wszystkim chciał się zdrzemnąć. Przebywanie w tym domu już go zmęczyło. – Mógłbym się zdrzemnąć? Masz coś przeciwko? W nocy nie spałem za dużo.

– Oczywiście, odpocznij – odpowiedziała, wycofując się. – Śpij, ile chcesz.

Zamknął drzwi i wypił łyk kawy, potem zaś zdjął buty i pasek i wsunął się pod narzutę, a jego głowę wypełniły natrętne obrazy ojca w ostatnich chwilach życia. Czy umarł od razu, nie mając świadomości, co się dzieje? Może miał atak serca albo udar i dlatego spadł?

Harry otworzył oczy, rezygnując ze spania. Żeby nie dręczył się już dłużej myślami o ojcu, zaczął wspominać college, którego rzeczywistość tak płynnie go wciągnęła na cztery lata, a tak gwałtownie się skończyła. Opadły go jakieś nierealne emocje, tak jak się czasami człowiek czuje, gdy wraca z zagranicy po dwóch tygodniach i ta podróż od razu wydaje mu się mirażem, jakby się nie zdarzyła. Tak właśnie czuł się w tej chwili, myśląc o czterech latach spędzonych w college'u. Te lata, jego niewielki krąg przyjaciół, Kim Petersen, wykładowcy, z którymi się bliżej związał, przestali tworzyć całość, rozpadli się, jak piękny wazon roztrzaskany na tysiąc kawałków. Ojca też już zabrakło, a więc jedyną rodziną, która Harry'emu pozostała, była Alice i kuzyństwo, których co prawda kochał, ale niewiele miał z nimi wspólnego.

Stanął przy łóżku, nie wiedząc, co począć. Alice odkurzała. Słyszał znajomy szum dobiegający gdzieś z otchłani wielkiego domu.

Zadzwonił jego telefon. Paul Roman, jego najlepszy kumpel z college'u. Oddzwoni. W tej chwili zdecydowanie nie chciał

rozmawiać. Podeszedł do okna, uchylił je lekko, żeby wpuścić trochę powietrza. Spojrzał ponad wierzchołkami jasnozielonych drzew. Widział wieżę kościoła kongregacjonalistów, a także kryty gontem dach Village Inn i w oddali skrawek Atlantyku, szary pod zamglonym niebem. Ulicą szła powoli młoda kobieta z opaską na ciemnych włosach. Harry widział, jak wyraźnie zwalnia i patrzy w okna. Odruchowo cofnął się w głąb pokoju. W niewielkim plotkarskim Kennewick wieść już się pewnie rozniosła.

Znowu zadzwonił jego telefon. Tym razem była to Gisela, koleżanka, też z college'u. Najwyraźniej wśród znajomych również się rozniosło. Śmierć jego ojca rzeczywiście się wydarzyła. Przytrzymał telefon, wiedząc, że musi oddzwonić do któregoś z przyjaciół, nie zdołał jednak ruszyć palcami. Szum odkurzacza zbliżył się do jego pokoju. Usiadł na drewnianej podłodze, oparł się o ścianę i kołysał w przód i w tył. Nadal nie płakał.

2 WCZEŚNIEJ

Alice Moss przeprowadziła się do Kennewick w Maine jako czternastolatka.

Kiedy jej matka, Edith Moss, otrzymała wreszcie czek z odszkodowaniem z Saltonstall Mill, wyprowadziły się z dwupokojowego mieszkania w Biddeford do domku w Kennewick Village. Edith powiedziała, że teraz, gdy mają pieniądze i zupełnie własny dom w miłym mieście, jej córka musi się zacząć zachowywać jak przystało na młodą damę. Alice zaś po prostu cieszyła się bliskością oceanu. Twierdziła, że nigdy wcześniej go nie widziała, chociaż Biddeford, niecałe trzydzieści kilometrów od Kennewick, też leżało na wybrzeżu.

– Oczywiście, że widziałas już ocean – powiedziała matka. – Jak byłaś malutka, w kółko cię woziałam nad morze.

– Nie pamiętam.

– No co ty wygadujesz, na pewno pamiętasz. Strasznie się bałaś mew.

Na wzmiankę o mewach pamięć wróciła. Odżył obraz, jak matka karmi je chipsami i śmieje się, gdy chmara brudnych ptaszysk kłębi się dokoła nich. Przypomniała sobie też, jak piekła ją spalona skóra i że zbity w grudki piasek przykleił się do kartonika z sokiem.

– Nic takiego nie pamiętam – powiedziała jednak. – Musiałaś mieć jakieś inne malutkie dziecko.

Matka się śmiała, odsłaniając krzywe zęby, przebarwione w miejscach, gdzie zachodziły na siebie.

– No w każdym razie teraz możesz sobie chodzić na plażę sama, kiedy tylko chcesz. Pokaż to swoje ciało. – Edith sięgnęła do sutków córki, pewnie by je wykręcić, ale dziewczyna odskoczyła.

– Mamo, jesteś obrzydliwa – powiedziała i wyszła z kuchni. Odkąd wpłynęły pieniądze z odszkodowania, matka chodziła w euforii, która w niej budziła odrazę. Wybuch bojlera mało nie zabił Edith Moss, ale gdy przyszedł czek, tańczyła po mieszkaniu jak nastolatka, potem zaś poszła po karton ulubionych papierosów i wielką butelkę absolutu. Alice spanikowała, że mama od razu wszystko wyda, robiąc coś głupiego w rodzaju zaproszenia przyjaciółek na rejs wycieczkowcem albo kupna nowego sportowego samochodu, ale ona po tej drogiej wódce i papierosach kupiła tylko masę nowych ubrań, a potem powiedziała córce, że wyprowadzają się z Biddeford do prześlicznego miasteczka o nazwie Kennewick. Alice udawała, że jest rozczarowana, ale podobało się jej to, zwłaszcza gdy się dowiedziała, że w nowym domu będzie miała własny pokój z łazienką wyłącznie do swojego użytku. To rekompensowało zostawienie przyjaciół i zmianę liceum. A dom był całkiem ładny, z wielkimi oknami i drewnianymi podłogami zamiast poplamionej wykładziny cuchnącej papierosami.

Wprowadziły się na koniec maja i Alice miała całe lato dla siebie. W Biddeford nie było gdzie chodzić oprócz Famous Roast Beef u Earla i wrotkarni, a tu mogła iść na Kennewick Beach – długą, piaszczystą i całe wakacje wypchaną turystami. I chociaż przed sobą już przyznała, że kiedyś widziała ocean, i tak miała wrażenie, że to jej pierwszy raz. Gdy lato dobiegło końca, jasna zimna woda skrzyła się jak na zdjęciach z tropików. Pierwszy raz poszła sama nad wodę pod koniec maja, w Memo-

rial Day. Na plaży kłębiło się od ludzi, głównie rodzin, ale też mnóstwa nastolatków, umięśnionych chłopców i szczupłych dziewczyn w bikini. Alice pod dzinsowymi szortami i tiszertem z Ocean Pacific miała trochę przymały ciemnoczerwony jedno-częściowy kostium. Kupiła go poprzedniego lata, żeby pływać w basenie ogrodowym swojej przyjaciółki Lauren, ale że mama rzadko kostium prała, na szwach wyblakł od chloru z wody basenowej.

Tamtego pierwszego dnia na plaży szła wzdłuż brzegu, niosąc sandały i rozkoszując się mokrym piaskiem, który wsysał jej palce. Ale nie pływała. W tym samym tygodniu z kieszonkowego kupiła sobie dwa nowe stroje kąpielowe w sklepie z pamiatkami na Route 1A. Czarne bikini, którego noszenia na razie sobie w ogóle nie wyobrażała, i zielony kostium jednoczęściowy, trochę nudny, ale wysoko podcięty na bokach. Kupiła też torbę słomkową, ręcznik i butelkę olejku do opalania Coppertone. Zaczęła chodzić na plażę codziennie, wypracowując rutynę. Szybko doszła do wniosku, że nie znosi smażenia się na słońcu. Dawało jej to efekt w postaci swędzenia, a nie opalenizny. Na białej skórze pojawiały się poparzenia albo ohydne wysypki. Zamieniła olejek na bloker – balsam z najwyższym filtrem, jaki znalazła – i codziennie rano przez całe lato po prysznicu smarowała nim grubo całe ciało. Dopiero wtedy czuła się zabezpieczona. Następnie pakowała do torby kanapkę z tuńczykiem, termos lemoniady Country Time oraz któryś z romansów mamy i wychodziła na cały dzień na plażę. Tam rozkładała swój wielki ręcznik, na każdym rogu zabezpieczając go kamyczkiem. Siedała i czytała, od czasu do czasu robiąc sobie przerwę na obserwowanie plażowiczów, którzy grali we frisbee albo wbiegali do wody. Nikt nigdy do niej nie podchodził, ale od czasu do czasu dostrzegała, że chłopcy, a niekiedy też starsi mężczyźni zerkają na nią ukradkiem. Nie miało znaczenia, czy ma na sobie tylko

kostium kąpielowy, czy też jest chłodniejszy dzień i nosi szorty i tiszert, ale chyba działa się to częściej, gdy miała na sobie czarne bikini.

Codziennie przed lunchem szła się wykąpać. Musiała się przemóc, by bez wahania wejść prosto do lodowatej wody. Nauczyła się, że jeśli wytrzyma w wodzie, pływając tam i z powrotem, przez co najmniej dwie minuty, przestanie odczuwać zimno, bo skóra odrętwieje. Dzięki soli woda morska miała większą nośność niż woda w basenie Lauren, więc wyciągnąwszy ramiona za głowę, Alice mogła się unosić na powierzchni i patrzeć w niebo.

Przy każdej wyprawie na plażę pływała tylko raz, głównie dlatego, że długo trwało, zanim wyschła, a musiała być całkiem sucha, żeby ani jedno ziarenko piasku nie dostało się na ręcznik. Potem zjadała kanapkę, piła lemoniadę i wracała do książki.

Przez całe lato matka przyszła z nią na plażę tylko raz, w sobotę pod koniec lipca. Edith wstała wówczas wcześniej, wzięła prysznic i umalowała się, wszystko dlatego, że spodziewała się swojej przyjaciółki z Biddeford, Jackie, która miała spędzić z nią cały dzień. Ale Jackie zadzwoniła, że nie przyjedzie.

– Można by pomyśleć, że musi dla mnie przejechać pół stanu – skomentowała Edith, odłożywszy słuchawkę. – To, kurwa, raptem dwa miasta stąd. Co dzisiaj robisz, Al?

– Idę na plażę.

– Jasne, na plażę. Powinnam pójść z tobą, przynajmniej bym się dowiedziała, czy naprawdę tam idziesz. Jak to możliwe, że codziennie siedzisz na plaży, a masz skórę białą jak kreda?

– Smaruję się filtrem.

– Jak ja byłam w twoim wieku, chodziłam na plażę bez przerwy i byłam praktycznie czarna. No, może pójdę z tobą, chyba że nie chcesz.

– Chodź. Zrobię jeszcze jedną kanapkę.

Edith szykowała się całe wieki. Połowę rzeczy wciąż miała w kartonach, kręciła się więc teraz, szukając tego, a nie innego stroju, który okazał się jednoczęściowym w panterkę i odsłaniał dużo klatki piersiowej o skórze twardej i pokrytej ciemnymi piegami. Odsłaniał też jej lewe ramię, pomarszczone i pobliźnione po wypadku w papierni.

– Chyba jestem gotowa. Mogę wziąć na plażę butelkę wina czy tak się nie robi?

– Mogę ci wlać trochę do termosu – odpowiedziała Alice, już otwierając drzwi lodówki, gdzie matka trzymała swoje butelki różowego mateusa.

Zanim się rozsiadły na piasku, każda na swoim ręczniku, zrobiło się prawie południe. Pogoda była niemal doskonała, na linii horyzontu widniały tylko blade postrzępione pasemka chmur. Powietrze pachniało oceanem, ale też balsamem do opalania, a od czasu do czasu bryza przynosiła lekki ślad dymu z czyjogoś papierosa. Alice zaczęła czytać *Koronkę* Shirley Conran. Matka otworzyła swoją książkę, ale nawet na nią nie spojrzała. Była niespokojna i nerwowa i zaczęła pić wino z termosu.

– Przejdziemy się? – spytała po chwili.

– Jasne.

Przeszły kawałek plaży, wróciły, Edith po drodze zarzuciła szal na ramiona.

– Patrz, mewa – mówiła co jakiś czas, trącając córkę w ramię.

– Już się nie boję mew – odpowiadała Alice.

– A więc pamiętasz mewy.

– Nie. Ty mi powiedziałaś, że się ich bałam. Nie pamiętam tych wycieczek, jeśli w ogóle na nie jeździliśmy.

Kiedy wróciły na swoje ręczniki, Alice było gorąco, pot się jej zebrał na plecach.

– Chcesz popływać? – spytała matkę.

– A broń Boże, woda jest lodowata.

Alice poszła sama, wypłynęła daleko, poza rejon, w którym załamywały się fale. Tam się obróciła na plecy i kołysała się na powierzchni w górę i w dół. Zamknęła oczy, wpatrzyła się w mikroeksplozje pod powiekami, a gdy się dostatecznie odchyliła do tyłu i zanurzyła w wodzie uszy, słyszała tylko niewzruszony ryk oceanu.

Kiedy wróciła na brzeg, zobaczyła, że nad matką stoi w rozroku starszy mężczyzna z rękami na biodrach. Miał na sobie czarne kąpielówki, wycięte wysoko. Uczesane z przedziałkiem włosy siwiały na skroniach. Widać było, że dba o sylwetkę, ale stał nienaturalnie sztywno, wciągając trochę brzuch.

– Alice, to Jake – przedstawiła go Edith, mrużąc oczy przed słońcem.

– Cześć – przywitał się mężczyzna, przekładając zapalonego papierosa z prawej ręki, by podać jej dłoń. Miał okulary lotnicze z lustrzanymi szklami. Alice zastanawiała się, czy zza nich patrzy na jej ciało. Gdy puścił jej dłoń, schyliła się po ręcznik, którym się zawsze osuszała, i owinęła się nim.

– Twoja mama... – zaczął mężczyzna.

– Jake pomagał mi otworzyć konto w tutejszym banku. Stąd mam to nowe radio z budzikiem, to w kuchni.

– Aha – powiedziała Alice. Wytarła włosy i usiadła na skraju ręcznika, uważnie trzymając mokre stopy z dala od jego krawędzi.

Mężczyzna o imieniu Jake przykucnął. Edith oparła się na łokciu. Też zapaliła papierosa, ujęła go w palce, a rozgrzane powietrze nad jego koniuszkiem marszczyło się, choć już i tak było gorące.

– Właśnie mówiłem twojej mamie – wyjaśnił mężczyzna – że bardzo chętnie oprowadziłbym was po Kennewick. Pokazałbym wam fajne miejsca. Najlepszą bułkę z małżami i takie tam.

Alice musiała się skrzywić, bo mężczyzna się roześmiał.

– No dobra, to najlepsze lody.

– Jasne – odparła i przesunęła się trochę w głąb ręcznika. Mężczyzna znowu zwrócił się do Edith. Alice położyła się na plecach i skupiła się na tym, jak gorące słońce osusza krople wody na jej twarzy. Niemal czuła, jak odparowują, zostawiając po sobie maleńkie kropeczki soli.

– No dobra, to jesteście umówieni – podsumował Jake, Alice zaś otworzyła oczy. Znowu stał, zasłaniając słońce. Pomyślała, że w sumie nieźle wygląda. Jak mężczyzna, który powinien wystąpić w reklamie papierosów Newport.

Jake ponownie przykucnął, kąpielówki napięły mu się w kroczu, tak że Alice widziała wypukłość genitaliów. Patrzyła jednak w jego okulary, srebrzystoniebieskie w jasnym słońcu.

– Alice, cieszę się, że cię poznałem. Jeśli jeszcze trochę dorośniesz, płeć przeciwna nie będzie miała szans.

– To samo jej mówię – wtrąciła Edith. – Cały czas. Już nie rośnij. Nie warto.

Mężczyzna wstał, oboje z matką śmiali się teraz w taki ewidentnie sztuczny sposób, jak się śmieją starsi ludzie. Pożegnał się i odszedł, wciąż wciągając brzuch.

Edith zgasiła w piasku papierosa – nie swoją markę, tylko tamtego.

– Co myślisz o Jake’u?

Powiedziała to wyczekująco, głosem odrobinę za wysokim, i Alice nagle sobie uświadomiła, że spotkanie było przynajmniej częściowo zaaranżowane, że ten mężczyzna i matka nie wpadli na siebie przypadkowo na plaży, a jeśli nawet, to widzieli się już wcześniej. I nie tylko w banku.

– Wydaje się fajny – odparła.

– Powodzi mu się – dodała Edith, wyciągając z torebki papierosa.

Alice się położyła. Martwiła się, że rano za mało posmarowała kremem buzię, więc teraz owinęła głowę ręcznikiem. Wilgotny i chłodny dawał jej miłe uczucie na twarzy. Pomyślała o tym mężczyźnie, którego poznała matka. Był stary i trochę tandetny, ale nie najgorszy. Gdy Edith pracowała w papierni i była samotną matką, musiała się spotykać z kierownikiem budowy, który nosił podkoszulki bez rękawów i miał wielkie pieprzyki na ramionach i szyi. Teraz, kiedy nie musiała pracować i mieszkała w takim miłym mieście jak Kennewick, mogła się umawiać z zadbanymi mężczyznami, którzy pracowali w banku. Tak właśnie urządzony był świat. Alice wiedziała to z książek, które przeczytała. Bogate dziewczyny wychodziły za bogatych chłopców i miały lepsze życie. Proste.

Słońce musiało się schować za chmurą, bo nagle poczuła chłód na skórze. Usiadła zbyt szybko, aż zakręciło się jej w głowie. Uświadomiła sobie, że chyba zasnęła. Na plaży było teraz mniej ludzi, a matka się pakowała.

– Gotowa? – spytała córkę.

WIRTUOZERSKA OPowieść o OBSESJI, ZDRADZIE I MORDERSTWIE Z ZIMNĄ KRWIĄ.

Tuż przed końcem studiów Harry dowiaduje się, że jego ojciec spadł ze skały. Zrozpaczony wraca do Maine, aby pomóc swojej macosze, pięknej Alice, uporządkować sprawę spadkową. Razem starają się otrząsnąć z rozpaczyny i odkryć, co tak naprawdę się stało.

Pewnego dnia w antykwariacie ojca pojawia się tajemnicza dziewczyna. Choć twierdzi, że niedawno przeniosła się w te okolice, Harry podejrzewa, że wie ona o jego rodzinie znacznie więcej, niż mówi. Ale nie tylko ona okazuje mu zainteresowanie – również zmysłowa Alice zbliża się do niego. Kobiety mają coraz większy wpływ na Harry'ego, a on ma wrażenie, że im lepiej je poznaje, tym bardziej czuje, że obie skrywają mordercze sekrety i żadna z nich nie mówi prawdy.

A to dopiero początek dramatycznych wydarzeń – policja informuje Harry'ego, że jego ojciec nie zginął na skutek wypadku.

w sprzedaży także



www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł

PREMIUM WYDAWCTWO

POCISK



CZYTAMY
KRYMINAŁY.PL

PORTAL
KRYMINALNY

